

Brutalnie prawdziwa,
bezpříkladnie bulwersująca,
szczerza do bólu.

Cała prawda o ludziach,
dla których kibicowanie
stało się stylem życia.

FANATYCY

Futbol na śmierć i życie



FRAGMENTY
KSIĄŻKI

FANATYCY

Futbol na śmierć i życie

Kraków 2017

JAK TO SIĘ ZACZĘŁO?

Tak się złożyło, że z naszego osiedla, z osiedla okolicznych domów jednorodzinnych, pochodziło kilku twardych chłopaków, którzy zawsze gdy tylko mogli, szukali atrakcji. Naszym marzeniem było stać się takimi jak oni. Zanim do tego doszło, musieliśmy się oswoić z całą otoczką piłki nożnej. Z tym, że trybuny kipią emocjami, czasami wybuchają. I również z tym, że czasami w ruch idą pięści. Zapytałem kiedyś ojca, dlaczego kibice się biją. O co chodzi, gdy nagle duża grupa rusza w stronę sektora, gdzie siedzą „ci inni”, albo rzuca się z kawałkami ławek na policję. Być może to właśnie był moment, w którym ojciec skrewił, ponieważ powiedział po prostu:

– Bo lubią, taka jest piłka.

Czy w ogóle to zrozumiałem? Wtedy jeszcze nie, ale skoro największy autorytet w moim życiu stwierdził, że to normalne, nie widziałem w tym nic złego. W tamtych latach, w swoich początkach, które przeżywałem wspólnie z ojcem, w zasadzie burdy stadionowe nie robiły na mnie wrażenia. Ot, gdzieś tam naprzeciwko leją się po głowach. Gdy zacząłem chodzić na mecze z chłopakami z osiedla i gdy kręciliśmy się po sektorach, gdzie było głośno i wszyscy mecze oglądali na stojąco, poczułem coś, co pozwoliło mi zrozumieć, że piłkarska awantura nie jest czymś absolutnie normalnym. Pojawił się strach. Byłem przyzwyczajony do szalejących tłumów, ale przyszedł taki dzień, w którym mnie to przytłoczyło. Poczułem się małutki, zupełnie zależny od innych i tego, co dzieje się dookoła.

Ogarnęło mnie coś na kształt paniki. Nie do końca wiem, czego się bałem – chyba nie tego, że dostanę w łeb, nie pchałem się przecież w dym. Strach rodził się z dynamiki wydarzeń, sektor potrafił eksplodować emocjami i zaczynała się awantura. Duże masy ludzi przemieszczały się bez większego ładu to w jedną, to w drugą stronę, porywając ze sobą wszystko, co nie mogło stawić oporu. I ja, ten 11-letni chłopaczek, płynąłem z nurtem tłumu, szukając wyjścia, bezpiecznego miejsca. W jednej chwili stoisz z kolegami, po chwili ich nie widać. Ktoś się przewraca, ktoś spada z ławki, innego podnoszą, bo głębę rozkwasił na schodach. A w tobie rośnie strach.

Nie wiem, czy przeszkadzało mi to, że czasami na meczu zaczynało się zamieszanie, nie było to przecież normą. Nauczyłem się wtedy, by uważnie obserwować otoczenie. Pogodziłem się z tym, że moje poczucie komfortu na stadionie raz na jakiś czas zostaje zaburzone. Nie był to powód, dla którego miałbym zrezygnować z atmosfery najgłośniejszego z sektorów. Żebyśmy mieli jasność – to nie były czasy, kiedy na stadionach zasiadało regularnie kilkanaście czy kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Z perspektywy można rzec, że frekwencje były śmieszne, ale dla młodego chłopaka – by nie powiedzieć: dla dziecka – to było morze ludzi, a ja momentami czułem się jak dryfujący rozbitek. Stopniowo uczyłem się odnajdywać w stadionowym zamieszaniu. Im byłem starszy, tym pewniej się czułem, fascynacja była silniejsza od tych niespodziewanych napadów strachu. Nie każdy tak miał – część sobie odpuściła. Sporo było takich, którzy zostali kanapowymi kibicami albo przenieśli się na drugą stronę stadionu, bo woleli oglądać mecze w spokoju. W ciągu ponad ćwierćwiecza, które spędziłem na trybunach, spotkałem wiele osób, które przy pierwszej okazji zwiąjały

manatki, tłumacząc, że to nuda, i wynajdując najdziwniejsze powody, by czmychnąć. Nie jest to przytyk pod czymkolwiek adresem, każdy ma swoje granice i jeżeli nie czuje się gdzieś komfortowo, nie będzie przecież brnąć w to dalej. W ten sposób w różnych okresach straciliśmy kilku kumpli; z drugiej strony, w ich miejsce zaraz pojawiali się nowi. Dziś tych z naszej grupy, którzy wytrwali przy klubie ponad dwie dekady, wariatów rozbijających się regularnie po Polsce, mogę policzyć na palcach jednej ręki.

Już na swoim pierwszym wyjeździe autokarowym usłyszałem hasło „Idziemy na promocję”. Rozglądałem się, gdzie ta promocja i dokąd oni idą. Po chwili koleś wybiegł ze stacji obładowani wszelkimi dobrami, jakby Mikołaj prezenty rozdawał. W autokarze zaczęli dzielić łupy – wódkę, papierosy, karton batonów. Biedni byli właściciele i pracownicy stacji i sklepików, gdy wpadała taka horda głodnych i żądnych alkoholu kiboli. „Dzień dobry, przyszliśmy na promocję” – tak nasze kwiaty zwykły się witać, wchodząc do upatrzonogo lokalu. Potem z uśmiechem na twarzy brali tyle, ile mogli udźwignąć. Jeżeli sprzedawca się stawiał, dostawał w mordę. Byliśmy niepowstrzymani, a brak czyjejkolwiek reakcji tylko rozzuchwalał towarzystwo. Niewielu miało odwagę się postawić na widok kilkudziesięcioosobowej watahy. Z półek zniknęły najlepsze alkohole, na które na co dzień większość nie mogła sobie pozwolić. Wynoszono skrzynki z piwem, nawet całe lodówki, do tego chipsy, batony – wszystko, co dało się zjeść i wypić. Policja była bezradna. Nawet jeżeli zatrzymali potem taką wycieczkę, po skradzionych fantach nie było śladu. Na zatrzymanie większej grupy musieli mieć odpowiednie siły. Dlatego częściej sobie odpuszczali, niż próbowali robić z tego wielką sprawę. A właściciele zostawali z niemałym minusem – towar poszedł się jebać i wcale nie było powiedziane, że sytuacja za jakiś czas się nie powtórzy. Wpadaliśmy jak szarańcza, z zaskoczenia. Niektórzy już wyjeżdżając, wiedzieli, którą stację opędzują.

Kierowca dostawał przykaz, by zaparkowany autokar miał możliwość szybkiego odjazdu. Wtedy to my mieliśmy władzę, zesrani do granic możliwości kierowcy nie chcieli wdawać się z nami w dyskusję. Dla świętego spokoju robili więc wszystko, o co ich mniej lub bardziej kulturalnie poprosiliśmy. Jeżeli wyjazd odbywał się bez cyrków, mogli liczyć na jakiś dodatkowy grosz, jakąś flaszkę w ramach podziękowania.

Gdy autokar już stał w odpowiednim miejscu, szarańcza ruszała do akcji. Pamiętam, jak kiedyś, jakoś na początku 1995 roku, na stację i do pobliskiego baru wpadło ponad 40 chłopca – wszyscy obecni w autokarze. Kurwa, ledwo pomieściliśmy się z tymi wszystkimi łupami! Bezczelne towarzystwo chciało nawet wracać, by zabrać jeszcze więcej, ale zostali powstrzymani i ruszyliśmy w trasę.

Dziś jeździmy pod czujnym okiem funkcjonariuszy. Mniej lub bardziej dyskretnie obstawione są wszystkie miejsca, gdzie możemy narobić problemów, do rangi wyzwania urasta nawet zatrzymanie się na stacji na zwykłego hot doga. Zatankowanie samochodu w drodze powrotnej też jest problemem, bo wszystko pozamykane. Policja pilnująca wjazdu udaje, że to właściciel prosił ich o obstawę, właściciele natomiast liczą straty, jakie powoduje zamknięcie stacji. A przecież my już od dawna nie kradniemy. Tak jak bezczelne były promocje w latach 90., czy nawet później, tak samo bezczelne jest twierdzenie, że nie można nas wpuścić na stację, bo wszystko zajebujemy. Ludzie, pobudka! Lata 90. się skończyły. Złota era polskiej chuliganki, kibicowskiej wolności, rozpierduchy na każdym kroku, awantur w pociągach, na dworcach, kamionek, regularnych przypałów... to wszystko już nie wróci. Jesteśmy innym środowiskiem, kształtowaliśmy się przez lata, wyzbywając się różnych zachowań.

Na dworcu mieliśmy takie małe zamieszanie, po którym kolej postanowiła dołączyć do składu jeden wagon, a policja uznała, że warto nas przypilnować. Z początku wszystko było OK, ale okazało się, że nas w tym ostatnim wagonie zamknęli. Wszystko poblokowane, żadnego wyjścia. Nie jechaliśmy jakimś mocnym kibolskim składem, niektórym nawet pasowało, że nikt się do nas nie wbije. My próbowaliśmy jakoś odblokować drzwi do wagonu, ale czujni stróże prawa interweniowali i jeszcze pół drogi musieliśmy negocjować, żeby wypuścili naszego kumpla, nad którym się pastwili. Gdy wjeżdżaliśmy w miasto, pociąg zaczął zwalniać. Nagle poszła szybka, ktoś krzyknął coś niezrozumiałego. Zaraz trzasnęła kolejna i jeszcze kolejna. Dalej już nie wiedziałem, co się dzieje, były tylko huk kamieni bijących w wagon, dźwięk tłuczonego szkła i krzyki dobiegające z innych przedziałów. W życiu nie przeżyłem czegoś takiego. Nie mieliśmy odwagi, by się podnieść i wyrzucić na zewnątrz. Jak się później dowiedzieliśmy, kamieniami obrzucono też przedostatni wagon, gdzie rezydowali mundurowi. Część z nich oberwała, kilku zwykłych podróżnych także. Długo się zastanawialiśmy, ilu musiało być napastników, że tak nas zaskoczyli. Ktoś twierdził, że widział kilkadziesiąt osób, może nawet więcej. Gdyby nie zamknięte drzwi, pewnie próbowalibyśmy do nich wyskoczyć. I skończyłoby się to dla nas sromotnym wpierdolem.

Cwaniaczki dobrze się do ataku przygotowały. Widać miały rozkminione miejsce i zaatakowały w najlepszym momencie – gdy pociąg się zatrzymał między nasypami. Gdy sytuacja się trochę uspokoiła, nasi niebiescy towarzysze podróży nabrali wigoru. Biegali jak pojebani wzdłuż torowiska, szukając atakujących, ale mieli pod górkę, dosłownie i w przenośni, bo po obu stronach torowiska były nasypy, dość gęsto zarośnięte. Zanim przedarli się przez krzaki, po kamieniarzach nie było już śladu. W wagonie nie zostało prawie nic, nie było jednego całego okna, nie było przedziału, w którym ktoś by nie oberwał. Podłogi wagonów były zasypane szkłem i kamieniami. Krajobraz jak po zamachu terrorystycznym. Szkło, krew, ranni. A na dokładkę psy, którym odjechało do końca. Uznali, że na nas odbiją sobie tę akcję. Też byłbym wkurwiony, gdybym musiał zasuwac pociągiem z bandą kiboli, a na koniec stał się celem ataku niezidentyfikowanych sprawców. Jeszcze dobrze nie zdążyliśmy się pozbierać po ataku, a tu zaczął się szturm na nasz wagon. Jakbyśmy to my byli wszystkiemu winni. Gdyby nas nie zamknęli w wagonie, może byśmy się z niego przynajmniej wysypali i spróbowali zmierzyć z napastnikami. Wrzask, krzyk, napierdalanie pałek. Tam, gdzie się dało, powychodziliśmy przez okna, choć można było się pociąć na resztkach szkła. Ale problemem było kilku chłopaków, którzy dość mocno oberwali. Jeden nadal leżał nieprzytomny i trzeba było szybko wzywać karetkę. Komórek nie było, więc byliśmy zdani na rozsądek psów. A te debile dalej szturmowały nasz wagon. Kręcili się na zewnątrz, więc ktoś do nich podbił, i zaczęła się karczemna awantura.

- Ej, kurwa, tu są ranni!
- Spierdalaj!

– Tam facet ma dziurę w głowie! – krzyčeliśmy. – Musi do lekarza!

– Stul pysk!

– Cholera, przecież on umiera!

– Zamknij się, bo ciebie odeślę do szpitala.

Od słów szybko poszło do czynów. Nie rozumieli, że trzeba człowieka ratować. Gdy trochę się opanowali, wpuściliśmy dowódcę do wagonu. Jak zobaczył skalę strat, zbladł. A widząc zakrwawionego, poturbowanego kolesia, prawie zemdłał. Od razu zaczął się drzeć przez swoje radyjko, że potrzebna jest karetka. Mogli nas nienawidzić, ale żaden nie wziąłby na klatę nieudzielenia pomocy poszkodowanemu w tak ciężkim stanie.

Gość, który oberwał, zapadł w śpiączkę. Wybudził się z niej dopiero po dwóch tygodniach i zdecydował się zakończyć karierę kibicowską. Później się okazało, że sam utrzymywał czteroosobową rodzinę – wyjazdy nie były więc zabawą dla niego. Wcale się nie dziwię, że sobie odpuścił.

Dojeżdżamy na miejsce, skręcamy w jakiś dziki, gęsty las. Leśne wertepy kończą się na małej polance, gdzie widać już fury. Niestety, naszych przeciwników jest mniej, niż było ustalone. Trudno, trochę chłopaków, głównie młodych, obejdzie się smakiem – banda na bandę tym razem nie przejdzie. Nie zwykliśmy robić nikomu świństw, więc będzie na liczby, bez krzywych akcji.

Na miejscu chwila na rozgrzewkę. *Top boys* idą na krótką pogawędkę, ustalenie zasad. Kilka minut i pada pytanie, czy gotowi. Kurwa, pewnie, że gotowi! Bandaże i piąstkówki zabezpieczają nasze pięści, szczęki już w gębie. Do tej chwili serce pompowało krew jak oszalałe. Ale dopiero ten moment, kilkadziesiąt sekund przed zwarciem, to jest ta sytuacja, w której dostaje się istnego pierdolca. Strzał adrenaliny jest niesamowity. Klapy na oczy, garda wysoko i na pełnej kurwie do przodu. Mówi się, że pierwsze pierdolnięcie jest decydujące. Pierwsza linia zawsze musi być najmocniejsza. Musi budzić respekt, samym wyglądem ma działać na przeciwnika. To od pierwszej linii w dużej mierze zależy przebieg spotkania. Wyeliminowanie jednej czy drugiej czołowej postaci w szeregach którejś z ekip może wywołać panikę, w najlepszym razie zwątpienie. Im więcej myślisz, analizujesz, tym gorzej dla ciebie i twoich kolegów.

Wolno podchodzimy do przeciwników, oni idą ku nam. Nagle słychać głośny ryk i wjeżdżamy w siebie. Ktoś z przodu się rozpędza i na wyskoku, niczym Chuck Norris, atakuje

rywała, trafiając go prosto w twarz. Przyjmiecie taki cios? Nawet jeżeli przyjmiecie, i tak go nie wytrzymacie. Gość jest pozamiatany, nie ma siły się podnieść. Bijatyka nie zdążyła się porządnie rozkręcić, a dla niego już jest po zabawie. Nad nim słychać odgłos młócenia, pięści trafiających w cel, zarówno z jednej, jak i drugiej strony.

Przeciwnik zaczyna się rozbiegać, kilku z nich jest już na ziemi. To daje wystarczającą przewagę, by szybko zakończyć starcie. Z boku słychać głośne krzyki, po ksywkach podpowiadają nam, komu pomóc, kogo podnieść, informują, że ktoś ucieka. W takim zamieszaniu często traci się kontakt z tym, co się dzieje dookoła, szczególnie gdy przyjęło się na głębę solidny cios. Wpada mi w ręce koleś, który nie wie nawet, od kogo dostał. Zarobił prosto w ucho, zwariował mu błędnik, choć cios nawet nie był mocny. Wstyd się przyznać, ale rąbnąłem go prawie jak baba – tak się zataczał, że w życiu bym go nie trafił drugi raz. Zanim zdążył paść na głębę, przyjął na klatkę piersiową rozpędzonego kolegę. Pozamiatane, KO. Robię kilka kroków naprzód i potykam się o gościa, który przypomina worek kartofli. Zaraz dopadam jeszcze jednego amatora mocnych wrażeń.

– Koniec! Dość! Już koniec! – krzyczy.

Ale wcale nie wygląda na kogoś, kto miałby dosyć. Szybko powalam go na ziemię, zdecydowanie za łatwo, chyba faktycznie nie miał ochoty już nadstawiać tej swojej pięknej buźki. Zakrywa twarz, przewraca się na bok i zwija w kłębek, ale ani myślę mu odpuścić. Okładam go do momentu, aż nie czuję chrupnięcia w lewej dłoni. Dobiegają jeszcze dwie osoby i koleś odpluwa po mocnym kopnięciu prosto w nos.

Nie takie były zasady. Ale gość jeszcze na koniec podniósł mi adrenalinę. Facet o większych niż ja gabarytach, wytatuowany

prawie w całości od pasa w górę, całą bijatykę kręcił się gdzieś z tyłu i tylko wypychał kolegów. Taki popychacz w ruskim stylu – tam połowa wystawionych do bicia tylko pcha do przodu innych. Nawet nie oberwał, a ma czelność krzyczeć, że to koniec? W takim razie po chuj tu przyjeżdżał? Żeby potem się lansować przed dupami na dyskotecce, że na ustawki jeździ? Tak czy inaczej, daliśmy mu powody, by ten dzień zapamiętał na długo. Ciśnienie zaczyna mi schodzić, rozglądam się dookoła, widzę siedzącego w trawie zakrwawionego małolata. Oko spuchnięte, nos z lekka przestawiony więc pewnie złamany, twarz zalana juchą. Mocno oberwał, nawet mi się go żal zrobiło, bo nie chciałbym tak po akcji wyglądać. Chcę przejść obok niego, mimo to przystaję i pomagam mu wstać. Uśmiecha się do mnie, próbuje coś powiedzieć, ale tylko bełkocze. Może szczękę też ma w kawałkach. Ale nie – to przez ochraniacz na zęby. Wyjmuje go pyta, czy nie pomogę mu znaleźć but. Faktycznie, jednego brakuje. Nieźle – myślę – może czekać go drutowanie szczęki i jakaś tomografia głowy, a on się butami przejmuję. Po chwili już rozumiem dlaczego – wyskoczył na akcję w wyjściowych lacoste'ach. Po paru minutach but się znajduje, a chłopak rzuca na odchodne:

– Czekam na rewanż.

Byłem raz na dużej imprezie firmowej, na którą kuzynka zabrała mnie jako osobę towarzyszącą. Firma zajmowała się systemami informatycznymi, startowała do dużych przetargów. Po oficjalnej części imprezy przyszedł czas na mniej oficjalną, czyli chłanie gorzały. Towarzystwo szybko zaczęło się składać. Znalazło się kilka osób żywo zainteresowanych futbolem, z którymi rozmowa była autentycznie ciekawa. Jednych kojarzyłem, innych kompletnie nie znałem, ale rozmawiało się przyjemnie. Wreszcie towarzystwo poszło potańczyć i zostałem sam z jakimś obcym typem.

– Ja cię znam – zagaił.

– Tak? Wątpię, nie mieliśmy okazji się wcześniej poznać.

– Ja cię znam, ty jesteś Adrian.

– To fakt, przedstawiałem się przecież – odparłem z uśmiechem.

Jakie było moje zdziwienie, gdy usłyszałem na swój temat rzeczy, których nikt poza moim bliskim otoczeniem nie mógł wiedzieć. Ksywkę, którą dostałem na wyjazdach już lata temu. Gdzie pracuję, z kim jeżdżę na mecze, jakie miałem sprawy w przeszłości.

– Co ty jesteś za jeden? – spytałem. Domyślałem się, że pies, ale miałem dość tej szopki.

Wtedy na stole wylądowała blacha. Czyli faktycznie pies. I to nie pierwszy lepszy, tylko taki chujek, co to musiał już dość długo siedzieć w temacie.

– Nie sądziłem, że zajmujecie się takimi leszczami.

– My się wszystkimi zajmujemy, wszystko wiemy i możemy was wszystkich zamknąć, jak tylko będziemy mieli na to ochotę – oznajmił zadowolony z siebie, a ja miałem ochotę porwać ze stołu kotlet i wcisnąć mu go do gardła. – Ty akurat możesz być spokojny – dodał – ale jak będzie potrzeba, to paragraf się znajdzie.

Zgłupiałem. Z jednej strony, chciałem mu wyjechać, z drugiej był podpity, więc mógł mieć długi jęzor. Wtedy nie wisało już nade mną nic, co skutkowało by problemami z prawem. Chwilowo byłem czysty, chyba że przestępstwem jest piłka nożna.

– Pierdolenie jak za komuny. – Machnąłem ręką. Nie chciałem, żeby pomyślał, że się go boję. – Ja wiem, że dużo wiecie, ale w sumie gówno macie. Gdybyście mieli, to już dawno by nas nie było.

Polał po strzale, może licząc na rozluźnienie atmosfery. Wypilem, ciekawy, co jeszcze ma do powiedzenia.

– Zrozum, że ja nie jestem twoim wrogiem – zaczął.

– Kolegi we mnie nie znajdziesz, szkoda zachodu – mruknąłem.

– Chłopie, obudź się wreszcie. Mamy przełożonych, oni mają swoich, a burdel musi się kręcić. Euro 2012 to nie przelewki. Dobrze o tym wiesz.

– Co chcesz mi powiedzieć?

– A czego nie rozumiesz? Nie wszystkim u nas zależy, żeby was pozamykać. Zresztą nie mamy nawet za co.

– To po chuj za nami jeździecie?

– Prikaz z góry. Z najwyższego szczebla.

– Po Euro nagle nam odpuściecie?

– Zależy, kto będzie trzymał koryto.

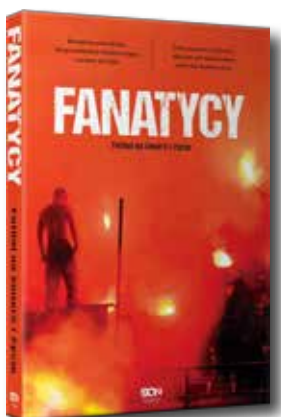
Do stolika wróciła reszta biesiadników, temat się skończył. Przynajmniej wiedziałem, na jaką gębę zwracać uwagę.

ZATRZYMANIE

Wchodząc bocznym wejściem na komendę, nie zdawałem sobie sprawy, że będzie to moja najtrudniejsza wizyta w podobnym przybytku. W głowie kotłowanina myśli. Co takiego zrobiłem, żeby zamiast przysłać wezwanie trzeba było po mnie przyjeżdżać o szóstej rano? Doświadczenie podsuwało chujowe myśli – takich sił nie angażuje się za kilka gramów marihuany czy wjazd z bramą na meczu. Polski wymiar sprawiedliwości ma to do siebie, że na komendę nie da się iść spokojnie. Niejeden już wchodził uśmiechnięty, bo wydawało mu się, że mogą mu skoczyć, a do domu wracał po dłuższym czasie. Teraz wystarczy, że zagoni cię jakaś kurwa. Było kilka głośnych spraw na polskiej scenie kibicowskiej, kiedy chłopaki łądowały w areszcie tylko na podstawie pomówień. Jak się okazało, moja sytuacja była podobna. Zanim wszystko miało się wyjaśnić, musiałem zebrać wpierdol. Zawsze bili i chyba już nigdy bić nie przestaną. Pierwszy raz dostałem, jeszcze stojąc na korytarzu i czekając, aż otworzą się wrota tajemnej komnaty. Postawili mnie skutego twarzą do ściany i kazali oprzeć się o nią czołem. Klasyka. I dostałem kopa, nie soczystego w dupsko, tylko na wysokości łydki, może trochę niżej, tak bym spierdolił się na ziemię jak worek kartofli. Panowie mundurowi nie lubią też się spieszyć. Im dłużej czekasz, by usłyszeć jakiegokolwiek wyjaśnienie, tym większy masz mętlik w głowie. Tak było i w moim przypadku. Nadal nie mogłem rozkminić, w jakim celu zostałem zatrzymany. W końcu zaproszono mnie do ciasnej i ciemnej klitki.

W środku trzech z pozoru normalnych gości. Gdybyście zobaczyli ich na ulicy, nie powiedzielibyście, że pracują w policji. Ale my, kibice, tak już mamy, że psa rozkminimy od razu. Twarze policjantów pozbawione były emocji, ale było w nich coś złowieszczonego. Moja pierwsza myśl: nie wyjdę stąd zdrowy. Tu jednak spotkało mnie zaskoczenie, bo usłyszałem zarzut po za ledwie kilku minutach. Ale wcale nie poprawiło mi to humoru. Kurwa jego zapierdolona mać, czynna napaść na funkcjonariusza! Pewnie najpierw zbladłem, potem serce zaczęło nadupczać mi jak pojebane. Pod nawałem myśli głowa zrobiła się ciężka, przecież to jakiś pierdolony farmazon. Od razu zasypali mnie dowodami, pokazano jakieś zdjęcie z monitoringu, na którym równie dobrze można było rozpoznać Wielkiego Ptaka z *Ulicy Sezamkowej*. Mówili, że mają zeznania, wszyscy mnie widzieli, wskazał mnie poszkodowany funkcjonariusz, a nawet kolega mnie wjechał. Idź pan do... Wiem, że każde słowo i każdą myśl analizowałem wtedy kilka razy. Dziś mam wrażenie, jakbym tam wszedł i wyszedł, a całość zajęła góra pięć minut. Może to mechanizm wyparcia traumatycznego przeżycia. Jak już postawili zarzuty, to miałem prawo zadzwonić do adwokata. To była najtrudniejsza część tej hecy, bo trzeba było zadzwonić do rodziców. Dali mi telefon, ale sami wybierali numer. Mama nie odbierała, drugie podejście było do ojca. On i tak musiał pójść z tym do niej – to ona obracała się w odpowiednich kręgach i mogła znaleźć mi sensownego adwokata.

**CHCESZ WIĘCEJ?
POZNAJ PRAWDĘ O POLSKICH
FANATYKACH!
PRZECZYTAJ KSIĄŻKĘ O LUDZIACH,
DLA KTÓRYCH KIBICOWANIE STAŁO SIĘ
PASJĄ I STYLEM ŻYCIA.**



Książki szukaj na:

www.labotiga.pl

a od 25 października w dobrych księgarniach w całej Polsce.

SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON